XII Kraków, 15. grudnia 1909. Nr. 24.

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: KRAKÓW, Zacisze 7. Telefon Nr. 479.
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:
Biuro G. Ungra, Warszawa Aleje Jerozolimskie 78.



— Szykowna facetka i podobno nie jest bez posagu?...
— Rzeczywiście! Ten jej posag już nawet podobno sam zaczął chodzić...

Od Administracyi!



Wszystkich naszych P. T. Abonentów prosimy o rychłe odnowienie przedpłaty na rok przyszły. Celem ułatwienia naszym P. T. Czytelnikom przesyłki prenumeraty na rok następny, dołączamy do każdego numeru Prenumeratorom w Galicyi **czeki pocztowe**, którymi bez jakiejkolwiek dopłaty za porto, można przesyłać przedpłatę na rok następny.

Przedpłata już wraz z przesyłką pocztową w Galicyi wynosi:

Rocznie . . . . . . **8 kor.**
Półrocznie . . . . . **4** „
Kwartalnie . . . . . **2** „

Każdy z naszych prenumeratorów, który nadeśle przekazem lub czekiem poczt. Kasy Oszczędn. w Wiedniu wprost do Administracyi naszego pisma **Kraków, Zacisze 7.** prenumeratę za cały rok z góry t. j. 8 koron i 35 halerzy na porto poleconej przesyłki, **otrzyma gratis**

Wspaniały Kalendarz „Bociana“ na rok 1910.

zawierający przeszło 50 illustracyj, humoresek nadzwyczaj interesujących, wierszy zajmujących, pióra najwybitniejszych naszych polskich humorystów-satyryków, słowem istną perłę humoru polskiego!

Uczciwa.

Leśniczy złapał 16-letnią Jagusię na zbieraniu jagód w dworskim lesie.

— Poczekaj, ty mała złodziejko, za to muszę cię ukarać!

. . . .

Jagusia poniósłszy karę, odzywa się ze skruchą:

— Panie leśniczy, ja wczoraj także zbierałam jagody...

Autentyczne podanie.

Do sądu w Krakowie, nadeszło niedawno podanie pana X. przeciwko pani X. o rozwód. Na rubrum znajdował się następujący napis:

Pozew

pana X.... pko pani X... o rozdział od stołu i łoża z przynależytościami.

Dobry pomysł.

Gość w teatrze (do sąsiada): Panie, dlaczego pan tak zawzięcie klaszcze? Przecież ta śpiewaczka śpiewa tak podle!

Drugi gość: Właśnie dlatego! Jak długo ja klaskam, ona śpiewać nie może!

KWESTYA BARBAKANU.

Choć są zdania podzielone,
Opinia wytyka,
Że w Barbakan nie powinien
Włazić żaden Styka!

Że się historyczne mury —
Zdaniem światłych ludzi,
Sprofanuje, oplugawi,
Zbezcześci, spaskudzi.

Ja w tem tylko widzę zawiść,
Widzę niechęć cudzą,
Bo czyż nam w zabytkach innych
Również nie paskudzą?

Do Wawelu odniemczenia
Wzięto się dość rączo
Jednak resztki Austryaków
Jeszcze tam się plączą!

Sukiennice — są pamiątką
I wieków pomnikiem,
Jednak w owych Sukiennicach
Jest baba — z kluczykiem!

Zanieczyszcza niemiec Wawel,
Babka — Sukiennice
Wolno zatem w Barbakanie
Paskudzić i Styce!... *Bocian.*

ooo

W szkole.

Profesor literatury niemieckiej wykładał panienkom w pewnym pensyonacie życiorys Göthego. W toku prelekcyi wspomniał, że Göthe ożenił się stosunkowo w późnym wieku i zapytał uczennice, czy nie domyślają się, jaki mógł być tego powód.

— Bo był z domu bogaty i nie potrzebował posagu! — zauważa jedna ze słuchaczek.

W separatce.

Kokotka (do kelnera): Wyobraź pan sobie, mój narzeczony nie ma pieniędzy, aby zapłacić za kolacyę. Teraz właśnie poszedł na salę szukać jakiego kapitalisty, u którego mógłby mnie zastawić!

Na linii A-B.

Mąż: Czy uważasz, moja Zosiu, że ten facet już od godziny postępuje krok w krok za nami? To prawdopodobnie dlatego, że ty masz taką *lekkomyślną* minę!

Żona: Zdaje mi się, że to chyba dlatego, że ty wyglądasz, jak *niedołęga!*

Spóźnione poświęcenie.

(Humoreska).

Nazywano ją powszechnie „Złotą Julką“, a znano z urody i niezwykłej zalotności w całem mieście. W jednym z pasażów lwowskich stała za kontuarem swego ojca, darząc gości uśmiechami lub też zachwalając kupującym towary galanteryjne, według niej piękne, bajecznie tanie i praktyczne.

Zwłaszcza młodym elegantom trudno się było oprzeć propozycyom „Złotej Julci“.

— Niechże pan kupi jeszcze ten breloczek — namawiała przystojnego akademika, zawijając mu parę spinek.

Akademik zarumienił się, przejrzał zawartość portmonetki, z której wydobył 3 korony, poczem bąknął, że innym razem nabędzie ów breloczek.

Dziewczyna uśmiechnęła się, wstrząsnąwszy przekornie płomienisto-złotą główką i spytała młodzieńca:

— Przecież pan Sokół?

— No tak i cóż z tego?...

— To się panu taki brelok z sokołem przyda, prawdziwie za bezcen... kosztuje zaledwie 3 koro- — dodała, patrząc błyszczącym wzrokiem na niezdecydowanego akademika.

— Niech już będzie razem ze spinkami 3 korony, wszak taka okazya w innym sklepie nie trafi się panu, nieprawdaż?

I rozwinąwszy spinki, zapakowała je razem z brelokiem.

Cóż było robić. Młodzieniec wyrzekł się miłego obiadu i czystej bielizny, a nabył mniej do szczęścia potrzebny brelok, a to wszystko dla kilku zalotnych uśmiechów „Złotej Julci“.

Mydełka i perfumy umiała tak zręcznie każdemu z kupujących podsunąć, że ani się sam nie spostrzegł, dlaczego kupuje, skoro mu w domu nie brak tego.

To też wkrótce piękna Jula uznała, że ma już dość pokaźny posag i czas jej pomyśleć o mężu.

A wybór jej padł na młodego urzędnika pewnej instytucyi prywatnej z roczną pensyą 2100 koron.

Wśród licznej młodzieży, przewijającej się przez sklep jej ojca, w którym ona niepodzielnie królowała, tylko jeden Henryk Mądrzycki zajął naprawdę zalotną dziewczynę.

Ażeby jak najczęściej widywać ukochaną, załatwiał obce sprawunki w sklepie Juli, czasem z okazyi imienin któregoś z kolegów biurowych lub przyjaciół, kupował jakiś tani podarek.

— Szkoda tylko — wzdychał nieraz skrycie zakochany młodzieniec — że oprócz tych marnych 2100 koron rocznie, nie mam innych dochodów, toby mnie bardziej zbliżyło do mego złotego dziewczęcia, a tak — dodawał z rezygnacyą — trzeba się zadowolić kilkakrotną przechadzką po pasażu i pozdrowieniem jej zdaleka...

Idąc do biura, z rozmysłu zatrzymywał się dłużej przed ogromną wystawą i patrzał w nią, nie widząc nic poza swoją ukochaną Julą, której składał głęboki ukłon.

Jakby na umówione hasło, zjawiała się zawsze w porę złotowłosa, płacąc za ukłon, raj obiecującym uśmiechem.

Ten mimiczny romans skończył się wkrótce potajemnemi zaręczynami.

Częste przechadzki przez pasaż, zwłaszcza w okolicach sklepu i to przydługie wystawanie przed szybą, za którą dla młodzieńca nic już ani ciekawego, ani też nowego być nie mogło, zaczęły niepokoić przezornego ojca Juli.

Wszak ta dziewczyna była złotym magnesem w jego sklepie, a magnes ten, jak opiłki przyciągał złotą młodzież z portmonetkami naładowanemi złotem... Ileż to w ciągu dnia tonęło w jego kasie błyszczących 10-koronówek!... Jeśli ma ją tracić, to już za możliwie wysoką cenę. — Zresztą dziewczyna sama jak złoto, ma posag i młodość, 18 lat zaledwie — kończył w myślach, szczerze zmartwiony tym niepożądanym konkurentem.

Po cichu, nie mówiąc nic córce, zaczął dowiadywać się o stanowisko i stosunki młodego człowieka.

— Pih — wydął z pogardą wargi — ten młokos ma zaledwie 2100 koron, wszak to nie partya dla naszej Julki, prawda matko?

— Pewnie — potakiwała zgodnie żona — to nie dla nas zięć. Zresztą — dodała w tonie wahania, zmieszanego z prośbą — pytajmy o to Julinki...

— A jeśli się jej ten błazen spodobał?...

— Przecież ona taka rozsądna i praktyczna — broniła matka.

— Zapewne, ale ja więcej od ciebie widzę, ty siedzisz w domu, a ja wpadam też i do sklepu. Co to gadać — machnął niechętnie ręką — kobieta sama ma krótki rozum i nie zbawią jej długie złote włosy.

— Słuchaj Julka — zagadnął wkrótce po tej rozmowie córkę — powiedz mi, co to za jakiś gamoń zagląda tu kilka razy na dzień i gapi się na wystawę, jak osioł na żłób z sianem...

Wesołe opowiadania.

Akademik siedzi w restauracyi przy jednym stole z jakimś poważnym obywatelem z Kleparza. Ten zjadł móżdżek cielęcy i obficie polewał go pilznerem, nudząc przytem towarzysza stołu nader głupiemi opowiadaniami. Akademik nie odpowiadał ani słowa. Zniecierpliwiło to wreszcie interlokutora, pyta więc sąsiada:

— Dlaczego pan nic nie mówi? Zapewne rozmyśla pan nad mojemi słowami?

— To nie — odpowiada na to student — ale myślę od dłuższego czasu nad tem, co panu poszło do głowy: to co pan jadł, czy też to, co pan wypił.

Dość już zniszczony rotmistrz huzarów ożenił się z aktorką, która prócz dość pokaźnego majątku, jaki w czasie swej artystycznej karyery oszczędziła, wniosła mu w posagu i piękną papugę, umiejącą bardzo pięknie naśladować aryę *Ptasznika z Tyrolu*: Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz!.

Z początku *młodego* żonkosia bawił bardzo wesoły ptaszek, który nie tylko w dzień, ale i w nocy powtarzał swą melodyę. Na zimę, przeniesiono klatkę do sypialni małżonków, gdyż w salonie było zimno.

Nieraz zdarzało się, że jakiś szmer budził w nocy papugę, rozpoczynała wówczas zaraz swe produkcye wokalne. Z początku śmiał się rotmistrz z tego, a żona jego była nawet zadowoloną, z czasem jednak, gdy mu się to nocne trzykrotnie powtarzanie sprzykrzyło, kupił sinku potasu i otruł biednego ptaszka, gdyż śpiew jego przypominał mu to, co było już ponad siły, a czego żona zrozumieć nie chciała.

W więzieniu policyjnem w Londynie znalazła się sufrażystka, którą aresztowano za wyprawianie awantur w sprawie przyznania kobietom prawa głosowania. Dostawszy się za kratki, ani rusz nie chciała wdziać na siebie aresztanckiego ubrania, gdy jej zaś odebrano jej suknie, w stroju Ewy usiadła na ziemi, wołając: „Votes for women! Wybierajcie kobiety!“

Dozorca więzienia, spogląda na nią ze wstrętem (liczyła bowiem lat 49 panieństwa i była odpowiednio koścista) i rzekł:

— Musiałaby pani inaczej wyglądać abym panią wybrał!

Nazajutrz po uroczystości św. Mikołaja spotyka się pan Karol z panem Józiem u Hawełki:

— No i cóż dałeś Mańce na Mikołaja? — pyta Karol.

— Ha, poszedłem za twą radą i kupiłem jej pełną pończochę cukierków, ale wyszedłem na tem nieszczególnie. Zapłaciłem pięćdziesiąt koron...

— Co gadasz!? To niemożliwe!

— Ależ daję ci słowo! Do jej pończochy wlazło dziesięć kilo cukierków... Ty chyba nie widziałeś nigdy jej łydek, dając mi taką piekielną radę!

Na raucie.

— Jakże, baronie, czy nie jesteś zdania, że kobieta w cywilizowanem społeczeństwie powinna mieć „głos“?

— Naturalnie, hrabino! Właśnie przed chwilą myślałem o tem, gdyś pani śpiewała!

* * *

— Ach, Adelciu, co za mezalians! Wyobraź sobie moja suczka wczoraj doczekała się szczęśliwego rozwiązania! I, co powiesz na to, był jeden mopsik, dwa jamniki, ratler i trzy foxteriery.

* * *

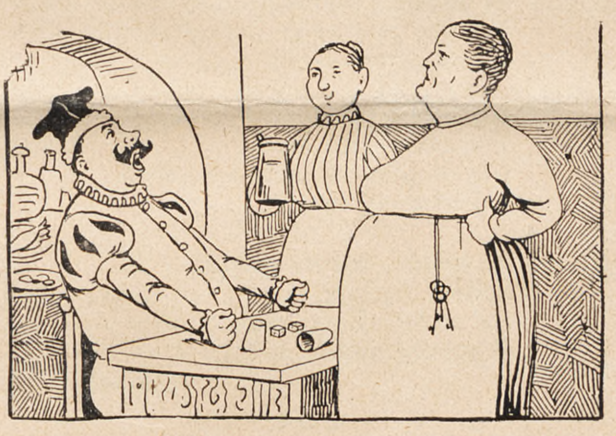
— Wie pani, ile razy chcę zirytować mego męża, wspominam zawsze, o moim pierwszym nieboszczyku.

— Ja zaś dokazuję tego samego, mówiąc o jego następcy!

Nie zrozumiał.

W Pradze, podczas ostatnich awantur studenckich na ulicach miasta, znalazł się na Przykopach jakiś poczciwy wieśniak wraz z żoną i z podziwem przysłuchiwał się wokalnym popisom burszów niemieckich, śpiewających z zapałem „Wacht am Rhein“ i studentów czeskich, intonujących „Hej Slovane!“ Na to wkroczyła policya i rozpoczęła rozpędzać zgromadzonych. Do grupy ciekawych, w której znajdował się i nasz bohater, zbliżył się jakiś wyższy urzędnik policyjny z rozkazem rozejścia się. Wieśniak, widząc go, ciągnie swą żonę za rękaw i mówi do niej szeptem:

— Stara! Chodź już! Teraz będą pewnie zbierać pieniądze!



Autentyczne zupełnie.

Jeden z naszych posłów parlamentarnych, bawiąc niedawno w czasie feryi w Krakowie, spotkał na linii A-B pewną panienkę, która przypadła mu wcale do gustu. Ponieważ żona była daleko, bo gdzieś aż we wschodniej Galicyi, krakowska zaś Putyfara miała tak czarujące oczka, nie oparł się pokusie i na kilka godzin zapomniał o zaprzysiężonej swej połowicy przy ołtarzu wierności małżeńskiej.

Gdy nazajutrz rano żegnał się ze swą krakowską przyjaciółką, ta odzywa się doń w te słowa:

— Pan musi być chyba posłem do parlamentu...

— A z czego to, kotku, poznałaś?

— Ano z tego, że zanadto długo trzeba się z panem kłócić, nim pan wreszcie zdecyduje się na krok stanowczy...

DROGIE ŚWIECE.

Dwieście reńskich za dwie świece?
Ach!... Doprawdy koniec świata,
Za dwie świece i dwie noce
Teremtete! Basamtata!

Tak klął Węgier z Temeszwaru
Narodowym swym zwyczajem,
Że go zdarli strasznie szwaby
W pięknym Wiedniu nad Dunajem!

— Dwieście reńskich za dwie świece,
To fortuna jest bez mała! —
I wymyślał pokojówce,
Co rachunek mu podała!

Ale Mitzi pokojówka,
Była czystej krwi wiedenką
I niedźwiedzia z Temeszwaru
Poklepała w gębę ręką!

— Niech wielmożność na rachunek
Nie narzeka tak dalece,
Bo w rachunku nie wstawione,
Że ja te gasiłam świece!

Chat-Noir.

Złośliwy.

— Przepraszam bardzo, czy tu jest gospoda pod „Białym łabędziem“?

— Nie, panie! To jest hotel pod „Złotym lwem“. Pan sobie zapewne chciał z nas tylko zażartować, ponieważ moja żona ma trochę zanadto długą szyję?

— Ależ, panie gospodarzu, pan się myli! Przecież ta szyja nie jest wcale biała!

— Ależ tatko, to nie żaden gamoń, to bardzo przyzwoity urzędnik.

— Tere fere, gryzipiórek jakiś, wybij go sobie z głowy.

— A jeśli ja go kocham? — zagadnęło dziewczę filuternie.

Pan Antoni przyjrzał się uważnie córce, poczem powoli wycedził:

— Toś głupia.

— Dlaczego?

— Jeszcze się pytaj, za golca pójdziesz, waryatko jedna?

— Ojcze, ja muszę wyjść za niego i on się nie może cofnąć — rzekła spokojnie, ale dobitnie — inaczej byłabym skompromitowana...

Pan Antoni ciskał się jeszcze długo, sklął córkę, Henrykowi przyrzekł kości połamać, lecz przyciśnięty do muru, zgodził się na małżeństwo.

A kiedy wyszedł, Jula wybuchnęła długo tłumionym śmiechem:

— Albom ja głupia tak jawnie się kompromitować — pomyślała — i jeszcze się ojcu spowiadać z tego! Cóż było robić, inaczejbym nie została panią Henrykową...

. . . .

Właśnie młoda para przeżywała słodkie miesiące upojenia. Cóż, kiedy na jasnym horyzoncie pożycia małżeńskiego zjawił się całkiem niespodzianie ciemny punkt...

Pani Mądrzycka nie mogła zrozumieć, dlaczego jej mąż nie awansuje. Wyobrażała sobie, że awans ten powinien nadejść lada chwila. Chwilowo zawiedziona, uzbroiła się w cierpliwość i czekała...

Mijały miesiące, ba, lata nawet, a tu zawsze ta sama pensya. Wydatki rosły, posag topniał, ojciec nie chciał nawet słyszeć o narzuconym mu zięciu i niezmiennie z uporem powtarzał:

— A nie mówiłem, że gamoń, fujara, niezdatny... ot, inni sobie jakoś radzą i awansują...

Córka rozżalona, w duchu jednak słuszność ojcu przyznawała.

— Pewnie — myślała sobie — wszyscy awansują, tylko mój Henryk ma zawsze marne 2100 koron, podczas gdy Chrząszczewicz dostał 2400, a Łubiński 2500...

A przecież ich żony nie były tak piękne. Chrząszczewiczowa miała wstrętnie zadarty nos, Łubińska niemożliwie była zezowata...

Długo szukała piękna Jula przyczyny tego niepowodzenia. Dokoła niej zezowate, piegowate i chude żony urzędników przyćmiewały ją strojami; jej pozostał tylko wdzięk młodości, o którego utratę drżała, oraz wieczna perspektywa pobierania nadal 2100 koron rocznej pensyi.

— Tak dalej być nie może — pomyślała sobie i jakaś przedziwna stanowczość wypogodziła jej rysy.

— Znalazłam wreszcie klucz do awansu, mnie będzie mąż zawdzięczał swoją karyerę, to trudno, trzeba się raz zdecydować...

. . . .

Pewnego słonecznego dnia pani Mądrzycka strojna i woniejąca zdecydowała się zadzwonić do prywatnego mieszkania wszechmogącego szefa biura, w którem jej mąż pracował.

Szef miał opinię niebezpiecznego Don Jouana mimo skończonej pięćdziesiątki.

Po godzinnem posłuchaniu pani Jula opuszczała zbytkownie urządzone apartamenty szefa swego męża i rumieniąc się, przechodziła przez sypialnię. Nawet na ulicy nie znikły jej te rumieńce.

— Przecież tu szło o przyszłość mego Henryka — uspokajała siebie.

Istotnie, to był akt poświęcenia z jej strony. Była z siebie dumną, gdy przestępowała progi swego mieszkania, w którem zastała męża. Poświęciła się dla niego i on zaawansuje teraz napewne, to nie ulega wątpliwości...

W kilka dni po jej wizycie u szefa, mąż wrócił na obiad w niezwykle dobrym humorze, a całując ją delikatnie, zagadnął:

— Czy wiesz, duszko, o dobrej nowinie, jaką ci przynoszę.

— O jakiej nowinie mówisz? — spytała pani Jula, pełna różowych nadziei.

— Nasz szef przeszedł na emeryturę...

— Czyż to możliwe! — zdziwiła się żona, zagryzając wargi.





Interwiew z wynalazcą.

Zapewne każda z Szan. Czytelniczek przypomina sobie, że przed kilku laty pojawił się na horyzoncie geniusz, nazwiskiem Dr. Schenck (ale nie Hugo), który był wynalazcą powidełek mających skutecznie działać na płeć przyjść mającego na świat noworodka. Embrylogowie darli sobie z rozpaczy włosy z łysin, zwłaszcza od chwili, gdy jedna z pacyentek uczonego męża, najadłszy się powidełek, które miały jej dać syna, dostała... rozwolnienia. Z czasem zapomniano o wielkim wynalazku, tymczasem Opatrzność łaskawie mrugnęła na nas swem okiem i nad Krakowem zabłysła taka gwiazda, która, miejmy nadzieję, zaćmi kometę Halleya. Sufrażystki w konsternacyi, ostatni bowiem ich przywilej, wolność rodzenia, staje się odtąd czczą fantazyą.

Szczęśliwym trafem wpadła mi w rękę broszura p. t. *Małżeństwo bez tajemnic*, a któż, jeśli nie *Bocian*, który był dotąd jedynym uprzywilejowanym dostawcą młodego pokolenia, powinien i godzien jest interwiewować wynalazcę? Bojąc się też, by nie uprzedził mnie który z codziennych kolegów, a są oni bardzo łasi na interwiewy, popędziłem, co tramwaj wyskoczy, do owego męża Opatrznościowego. Przeczytałem naturalnie dokładnie całą rozprawę, a najbardziej podobało mi się w niej pytanie w rozdziale II. „Dlaczego natura umieściła przyrodzenie kobiety w danem miejscu?“, twierdzenie autora w rozdziale trzecim, iż jest w tym wypadku nieomylny, zapewnienie w rozdziale czwartym, iż żadnych lekarstw do tego nie trzeba ani przyrządów, oraz twierdzenie w rozdziale szóstym, iż jest to jedyny sposób na uszczęśliwienie ludzkości.

* * *

Wpadam obcesowo do biura, w którem pracuje wynalazca.

— Panie! — wołam — chcę mieć syna, ale zaraz!

— Powoli! Powoli! Wielkie rzeczy, tworzą się pomału! Ja tu zresztą nie ordynuję, tylko w domu!

— Bardzo przepraszam, ale mnie się bardzo spieszy!

— Żona pańska ile ma lat?

— Kto? żona? Ja nie mam wcale żony! Wielka mi sztuka mieć syna, jak się ma żonę! O tem wiedział już nieboszczyk Noe... Gdybym miał żonę, dziś panie byłbym ojcem dwudziestu zdrowych chłopaków. O! bo ja się sam znam najlepiej. Zresztą może pan ma pod ręką jakieś ten... tego... jak to powiedzieć... mogę dać dowód choćby zaraz!

— Powoli! Pan widzę w gorącej wodzie kąpany! Pański zawód?

— Generalny interwiewer największego pisma polityczno-lekarskiego *Bociana*.

— W takim razie mogę służyć informacyą, ale proszę o dyskrecyę!

— To się wie!

Tu do ucha opowiedział mi sposób w jaki postępuje, ja zaś jako prawdziwy przyjaciel ludzkości, gotów go jestem również na ucho każdej z Szan. Czytelniczek powtórzyć również do uszka, by nikt nie słyszał.

— Kolosalne! Piramidalne! — zawołałem, gdy ukończył. — To wstrząśnie medycyną, położnicy wyginą z głodu, akuszerki pójdą sprzedawać opodatkowaną wodę sodową. A ja panie łaskawy myślałem, że to blaga!

— A widzisz pan!!

— Byłem pewny, że aby nie mieć dzieci, nie trzeba się żenić, gdy się ożeniło i ma się córki, a chciałoby się mieć synów, to dziewczynom pokręcić karki, nie mogło mi się jednak pomieścić w głowie, co robić, jeśli się jest żonatym, chce się mieć dzieci, a tu ani rusz! Byłem jak nie wierny Tomasz, który nie chciał uwierzyć, dopóki palca nie włożył...

— Tak! tak! A tymczasem pan przed włożeniem uwierzyłeś! Ja wiem panie, że to epokowy wynalazek. Po wojnie naprzykład wychodzi rozporządzenie, że mężowie mają obowiązek postarania się o uzupełnienie szeregów armii i przez dwa lub trzy lata rodzą się sami synowie! Chcemy się pozbyć Rusinów z Galicyi, trzeba tylko wydać rozporządzenie, że żadna z Rusinek nie śmie mieć potomstwa i kwestya już rozwiązana! Przyznaj, czy to nie epokowe!

— Więcej niż epokowe! I pan nie wygłosił dotąd publicznie swej teoryi?

— Noszę się z myślą urządzić szereg publicznych wykładów...

— Radziłbym z demonstracyami! Nie będzie w Krakowie sali, któraby pomieściła słuchaczów; chyba może w Rondlu? Ja już zamawiam na te wykłady sto dziewięćdziesiąt pięć biletów dla personalu redakcyjnego. O lornetki już się sam postaram! Czy nie zwracał się pan ze swym projektem do cesarza Wilhelma?

— Owszem, ale dotąd mi nie odpowiedział.

— Czy wolno wiedzieć, dlaczego tak późno opublikował pan swą broszurę? Wobec praw natury i zapowiedzianego na 18. maja 1910 końca świata, nie będziemy mogli przekonać się o skuteczności pańskich pomysłów.

— Mnie samemu tego żal, ale cóż robić! Jakoś nie mogłem się zdecydować! Ciężki poród umysłowy!

— Co za szkoda! Co za szkoda!

* * *

W podniosłym nastroju opuściłem wynalazcę, pewny, że już w krótkim czasie (n. b. jeśli koniec świata zostanie odłożony) ludność Europy zmieni się do niepoznania. Kto wie, czy wobec tego nie warto się ożenić, już choćby tylko dlatego, by módz osobiście wykonać te doświadczenia!

Na plantacyach.

Facet: Przepraszam, czy panie może są z teatru?
Facetka: Nie... ale jeśli pan prosisz na kolacyę, to i my możemy pójść!

RÓŻNE KAPITAŁY.

Czem na pieniężnym rynku
Są kapitały, — wiecie —
Podobną rolę mają
I nogi przy balecie!

Ulokowane sprytnie,
Przynosić mogą krocie,
Gdy w pewnem przedsiębiorstwie
I dobrym są obrocie!

W miłości, czy na gieldzie
Solidne kapitały,
Ba! nawet, kiedy leżą,
Przynoszą dochód stały!

Chat-Noir.

ooo

Pod Telegrafem.

W celi aresztów policyjnych spotyka się nowo przyprowadzony więzień ze swoim przyjacielem i kolegą zawodowym, który używa tam już gościny.

— O! serwus brachu! A cóż tam zmalowałeś?

— Ano nic! Buchnąłem jednej brzanie broszkę z bryliantami!

— Były choć prawdziwe?

— Czy jo tam wiem! Nie miałem czasu się przekonać, bo mnie zaraz bury przyskrzynił!

— A komuś buchnął?

— Jakijść aktorce!

— O!... To były prawdziwe! Ino hrabiny noszą fałszowane!





Filozoficzne myśli.

Ależ panno Stefciu, któżby tak prędko mógł przyjść do celu... jak koń wyścigowy?

* * *

„Raz to nic“ — mówi niezadowolona małżonka.

* * *

„O, kochaj wiecznie, póki możesz“ — mówi ludowe przysłowie.

* * *

Na morzu miłości nie braknie nigdy korsarzy.

* * *

Kobiety są konserwatystkami co do miłości i nie pragną na tym punkcie żadnej reformy.

* * *

Kobieta woli romans w życiu, niż w książce.

* * *

Z miłością, jak z szampanem — dopiero później można wiedzieć, czy płyn był dobry.

* * *

Najgroźniejszym pociskiem na cnotę, jest pieniądz.

* * *

Ty... ty... ty szkaradniku! — jest to okrzyk najwyższego zadowolenia kobiety.

* * *

W miłości nikt nie upomina się o *spoczynek niedzielny*.

* * *

Na bezkobieciu i kokota — kobietą.

* * *

Życie trzeba zużywać jak cygaro... Wielu jednak przez nieuwagę bierze zawsze zapalony koniec do ust.

* * *

Kobieta pozwala sobie grzechy męża naprawiać przez przyjaciela domu.

* * *

Kobieta zdradza męża z dobrej woli — kochanka z musu.

* * *

Najszczęśliwszy żywot rodzinny wiedzie bezdzietny wdowiec.

* * *

Nie każdy, kto zwyciężył, musiał walczyć!

* * *

Kobieta jest orzechem bardzo trudnym do zgryzienia — to też Bóg, dając nam kobiety, dał nam i odpowiedniego zęba...

Galanterya Polaka.

Rzecz dzieje się w kąpielach niemieckich. Jakiś facet, Polak z Królestwa, spaceruje w towarzystwie młodej panny, Niemki. Nagle robi się Niemce *„niedobrze“*, przeprasza swego towarzysza i prosi, aby na nią chwilkę poczekał, a sama biegnie czemprędzej do miejsca, gdzie napisano: *Für Damen.*

Facet, wychodząc z tej zasady, że gdy się jest w towarzystwie kobiety, nie powinno się jej pozwolić za cokolwiekbądź płacić — podchodzi do owego pawiloniku, w którym tak gwałtownie znikła Niemka i wręcza dozorczyni kilkanaście fenigów.

Za chwilę wychodzi dama i chce płacić.

— O! pardon madame — odzywa się z galanteryą facet, wstrzymując jej rękę — już zapłacone! *schon bezahlt!...*

Spekulant.

Rzecz dzieje się w urzędzie parafialnym. Zgłasza się pan Taubeles, który oświadczył gotowość przyjęcia wiary katolickiej i już jest do chrztu przygotowany. Ksiądz proboszcz wita serdecznie przyszłego neofitę i pyta o dzień chrztu.

— Przepraszam najmocniej księdza proboszcza! Prosiłbym o prolongatę, dopóki nie zostanę cesarskim radcą, gdyż jako katolik nie dostałbym tego tytułu!

Dobre wyrachowanie.

— Nie wiem, dlaczego ty Zośka przekładasz nad innych tylko urzędników!

— Ano, prosta rzecz! Na tych się nigdy nie zawiedziesz! Każdy wie, że na pierwszego mają zawsze pieniądze!

W każdym calu prawnik.

Pan mecenas Y. człowiek wprawdzie żonaty, ale jeszcze wcale nie stary i wzdychający do życia, którego niewiele mógł zaznać przy swej połowicy, starał się skorzystać z każdej sposobności, by się wesoło zabawić. O! bo płeć piękna stanowiła zawsze jego słabą stronę! Skoro żona jego przyjęła raz przystojną pokojówkę, a on, ujęty jej wdziękami zaczął się do niej palić, rzekła doń z wyrzutem rezolutna dziewczyna:

— Proszę mi dać spokój! Ja należę do pani mecenasowej, nie do pana!

— Tak! tak! mój kotku! — odpowiada na to adwokat — przecież wiesz, że ja z żoną żyję we *wspólności posiadania!*

Handel.

— Zabrałaś mi mojego generała!

— A ty mi mojego pułkownika!

— To mi za mało! Dodaj mi do niego choć jakiegoś kadeta!

Narzeczona posła.

— No... no... mój Jasiu! Najpierw musisz załatwić moje *prowizoryum budżetowe*, a potem dopiero może być mowa o twych *nagłych wnioskach!*

Zdziwiony.

Pan Goldfasan ma syna, który odbywa obecnie jednoroczną służbę wojskową. Pewnego pięknego poranku zjawia się kochana pociecha i prosi swego papy o „vorschuss“ w kwocie pięciu tysięcy koron.

— Bój się Boga! Lejosz! A na co ciebie potrzeba aż pięć tysząców!

— Tatki! Ja mam dług *honorowy!*

— Gwałt! A skąd ty wziąłeś tyle *honoru?* Przecież go po mnie nie odziedziczyłeś?

Z garnizonu.

Dywizyoner lustrował stacyonowany w pewnej miejscowości pułk kawaleryi. Inspekcya wypadła bardzo kiepsko, ekscellencya był w bardzo złem usposobieniu, *omówienie* było też bardzo burzliwe. Aby się o ile możności uchronić od zarzutów, jakie ich spotykały, oficerowie bardzo często przerywali, co ekscellencyę tak zirytowało, iż przerwał *Besprechung* i rozkazującym tonem wygłosił pewne zdanie, w którem była mowa o „całowaniu“ (ale nie w usta! przyp. Red.)

Na drugi dzień rano zjawia się przed obliczem komenderującego generała deputacya obrażonego pułku, złożona z pułkownika i majora i opowiada całe zajście. Ten wysłuchał cierpliwie, a po ukończeniu wywodów zwraca się do swego adyutanta, i mówi:

— Proszę mi podać regulamin służbowy! Pierwszą część!

Przewróciwszy kilka kartek, wskazuje generał skarżącemu pułkownikowi jakieś miejsce, które każe mu głośno odczytać.

Pułkownik czyta:

„Wnoszenie zażaleń w kwestyi otrzymanych od przełożonych rozkazów, jest dopuszczalnem dopiero po wykonaniu tychże.

. . . .

Po chwili pyta generał bardzo uprzejmie:

— No, i wykonali panowie *rozkaz* dywizyonera? Milczenie było odpowiedzią.



Zawikłana historya.

— No i jakże? Kiedyż ty Zosiu wyjdziesz już raz za mąż?

— Albożja wiem! Mój narzeczony szuka już od dłuższego czasu jakiejś odpowiedniej partyi dla mnie, ale niestety, nie może znaleźć!

Dwuznaczne.

On: Mąż pani czyta cały dzień tylko wiadomości polityczne w dzienniku! Może tak dla rozmaitości wzięlibyśmy się we dwoje do *romansu?*

Ma racyę.

Pani: Kasiu! Absolutnie zakazuję ci zawierania jakichkolwiek stosunków z wojskowymi! Tego absolutnie nie zniosę!

Służąca: A cóż ja mam właściwie zrobić, kiedy między cywilami tak trudno wybrać!

Ze Lwowa.

Pewien jegomość z prowincyi przybył po raz pierwszy do stolicy nadpełtwiańskiej i w towarzystwie swego przyjaciela zwiedza osobliwości miasta. Gdy stanęli przed pewnym domem na Bajkach, oprowadzający zwraca uwagę gościa, iż właśnie w tem miejscu popełniono przed trzydziestu laty ohydną zbrodnię.

— Ale sprawcy zapewne dotąd nie złapano! — zauważa prowincyał, który nieraz już słyszał i czytał wiele o powolności lwowskich władz bezpieczeństwa.

— Owszem, mylisz się bracie! — odpowiada na to zapytany — od dziesięciu lat jest już policya na jego tropie.

Czynne życie.

— No i powiedz mi, mój hrabio, co ty też właściwie robisz przez cały dzień, nie mając żadnego ściśle określonego zajęcia?

— O... ja mam zawsze coś do roboty! Jak tylko się obudzę, czytam w łóżku gazetę, potem ubieram się powoli i akurat jest czas siadać do kolacyi!

Dobry znak.

— Pani Maciejowa! Tego roku będziemy mieć z pewnością ostrą zimę!

— A z czego to pani poznaje?

— A bo mojemu staremu zaczynają znowu rosnąć włosy na łysinie!

Autentyczne.

Placem Wszystkich Świętych w Krakowie kroczy jakaś poważna dama. W tem zbliża się ku niej obywatelka z Kazimierza i zapytuje jej uprzejmie:

— Psieproszom! A gdzie tu jest Syrop od zębów?

— Prawdopodobnie w aptece! — odpowiada na to owa pani — tam takie rzeczy sprzedają!

— Nu... ale ja się pitom, gdzie mieszka ten syrop od zębów!

— Mówię pani w aptece! Tam przecież sprzedają wszystkie syropy... to będzie pewnie i ten na zęby!

— Kiedy mnie pani nie rozumie. Ja się chcę dowiedzieć, gdzie mieszko doktor Syrop, co on potrzebuje rwać zęby!

— Aha! Przepraszam! To tutaj obok, pod numerem dziesiątym!

Kwiatki stylistyczne naszych uczonych.

— W czwartym rozdziale poznaje Helena zupełne niedołęstwo Parysa, w piątym nie puszcza go już do swej sypialni.

— Porwanie Sabinek kosztowało Rzymian wiele bezsennie spędzonych nocy.

— Aleksander Macedoński, kładąc się spać, brał ze sobą Homera do łóżka. Dziś możni panowie nie zdobyliby się na coś podobnego.

— Gdy cesarz Maksymilian znalazł się na spadzistej i stromej skale, nie mógł się ruszyć z miejsca ani wprzód, ani wtył, ani też nie mógł pójść na stronę!



Przy przyjmowaniu służącej.

Pani: Co? Panienka stara się o posadę pokojówki a posiada tak wspaniałe toalety? Ciekawa jestem skąd?

Pokojówka: To proszę pani z oszczędności, jakie porobiłam w czasie, gdy byłam bez posady!

U malarza.

— Więc panienka pozowała już malarzom?

— Tak jest, proszę pana, ale ten pan obrazu nie skończył, a dziecko umarło przed miesiącem!

W sądzie.

Sędzia: Więc pan twierdzi stanowczo, że oskarżony ukradł panu chustkę do nosa?

Oskarżyciel: Tak jest! Taką samą, jak ta, którą położyłem teraz na stole!

Sędzia: Ależ panie! Takich chustek znajdziesz pan przecież więcej na świecie. Ja sam mam zupełnie podobną.

Oskarżyciel: To mnie wcale nie dziwi! Mnie zginęły właśnie dwie takie chustki, a tylko jedną widziałem u oskarżonego!

Dziedziczność.

— Nie uwierzysz hrabio, jak artystyczna krew płynie w mych żyłach. Ja jestem aktorką, moja matka była także aktorką, a moja babka występuje do dnia dzisiejszego w warszawskim balecie.

Po procesie Steinheilowej.

Malarz: Co pan da za ten obraz?

Handlarz: Albożja wiem? Muszę się namyśleć. A ile pan żąda?

Malarz: Pięćdziesiąt tysięcy franków!

Handlarz: Co? Pięćdziesiąt tysięcy? Panie, ja panu mogę dać najwyżej dwieście franków!

Malarz: Dwieście?!... Pan sobie chyba kpi ze mnie!

Handlarz: Kpi, nie kpi! Panie łaskawy, kto dziś chce drogo sprzedawać swe obrazy, ten musi mieć albo bardzo piękną żonę, albo też musi już nie żyć!

Malarz: Dobra rada! Steinheilowa jest obecnie wolna, ożenię się z nią, a ona należy przecież do przystojnych. Gdyby i potem interes nie szedł, to pociesza mnie przynajmniej nadzieja, że można będzie rychło umrzeć!

Elegantka.

Panna baronówna Eulalia Kościotrupska, zamawiając u handlarza towarów gumowych sztuczny biust i piersi, mówi do siebie:

— O!... Ja, bo zawsze bardzo uważam na *formy zewnętrzne!*

Westchnienie Abdul-Hamida.

— Allah jest wielki! Ale cóż mi z tego, kiedy willa Allatini jest tak mała!

Między kokotkami.

— Czy słyszałaś, podobno wielu bardzo oficerów, którzy otrzymali owe trujące pigułki, wysłane przez Charles'a Francisa nie użyło ich wcale, lecz wrzucili je do kosza!

— Prawdopodobnie musieli to być bardzo inteligentni ludzie!

— Albo też nie potrzebowali takich środków.

— W każdym razie były to wybitne osobistości! Boże! jak chętnie poznałabym któregoś z nich!



— Jeżeli pan kupi za 10 koron, to towar odsyłamy nawet do domu...

— Jabym kupił nawet za 20 koron, ale pod warunkiem, że pani mi sama przyniesie do domu...



— Panie, tak dłużej żyć nie możemy! Jak ów Domejko i Dowejko, musimy raz skończyć!... Ten, który wyciągnie asa...

— Ten zabiera pulę!...



— Czy wolno pani towarzyszyć?

— To będzie zależało od tego, czy pan będziesz w możności zaprowadzić mnie najpierw na jaką dobrą kolacyę...



— Jak widzę, to pan jesteś amatorem kwaśnych jabłek...

— Nic nie szkodzi, proszę pani, ja właśnie lubię kwaśne...



— Wie pan, że pan cudownie tańczy! Gdzie się pan tego nauczył?

— Proszę pani, ja to wyssałem widocznie już z mlekiem mej karmicielki, narzeczony bowiem mojej mamki był podobno w balecie...



— Wasza miłość, wy przebrzydli mężczyźni, ulatnia się jak ten dym z papierosa i nic po niej nie zostaje!...

— No, nie zawsze, proszę pani — czasami zostaje coś na pamiątkę...



— Ej mała! Zdaje mi się, że mnie ty zdradzasz?...

— Pociesz się baronie jednak, że to tylko z twoim własnym synem...

— No, to jeszcze jakoś lżej przeboleć, bo przynajmniej we familii zostajesz...



— Czy to prawda, że pan pojedynkowałeś się z baronem o jakąś cyrkówkę? I któż padł?

— Cyrkówka — proszę pani!...

Dobra odpowiedź.

Państwo X. w Krakowie przyjęli służącą, z której byli nad wyraz zadowoleni. Był to bowiem prawdziwy brylant pomiędzy obecnemi sługami. Nie wymagała wiele, gotowała doskonale, do prania nie potrzebowała pomocy, węgle nosiła sama z piwnicy, słowem ideał, o jakim nasze panie w obecnych czasach mogą tylko marzyć! Ale pewnego pięknego poranku zauważyła chlebodawczyni, że jej Kasia zaczyna przybierać jakieś zanadto zaokrąglone kształty. Z początku tłumaczyła to sobie dobrym wiktem, jaki sługa ma u nich, po pewnym jednak czasie, gdy obwód jej w pasie był już zanadto podejrzany, zdecydowała się zapytać Kasi, coby też mogło być tego powodem.

— A bo ja proszę pani, zaręczyłam się przed kilku miesiącami! — brzmi odpowiedź zarumienionej po same białka oczu kuchennej primadonny.

Ciekawy towarzysz.

W wagonie pociągu pospiesznego na linii Kraków Podwołoczyska, siedzi w przedziale drugiej klasy jegomość, który zatopił się w lekturze *Nowości illustrowanych*. Obok zajął miejsce galicyjski żydek, który, mimo, że widział, iż jego współtowarzysz nie ma wcale ochoty do wszczynania rozmowy, za każdą cenę postanowił go wyciągnąć na słówko, aby się dowiedzieć, kto on jest i dokąd jedzie. Chrząkał, trącał swego sąsiada, ale ten był niewzruszony. Wreszcie zdobywa się na odwagę i pyta:

— Psipraszam! A pan dobrodziej dokąd jedzie?

— Do X.! — brzmi krótko odpowiedź jegomościa, który widocznie nie był kontet, że mu przerwano rozmyślania.

Nie traci jednak interlokutor fantazyi, lecz ciągnie dalej:

— Nu, a poco pan tam jedzi?

— W odwiedziny.

— Tak? W odwiedziny! Nu, a gdzie pan tam będzie mieszkać?

— We dworze!

— Tak? We dworze! To pewnie u rządcego?

— Nie! U siostry!

— U siostry? A czym jest pańskiego siostre?

— Właścicielką dworu!

— Tak? Własczyczelką dworu?! A soi! Nu, to czemu pan się zaraz z początku wstydził powiedżycz, że pan ma takie *nobel* krewne? A pan dobrodziej czym potrzebuje bycz?

— Ja jestem prokurator!

. . . .

Na tem skończyła się rozmowa, gdyż ciekawy pasażer przeniósł się zaraz do innego przedziału, nie chcąc siedzieć w takiem towarzystwie.

Zdania węgierskiego ministra.

Między Austryą, a Węgrami jest taka różnica, że tam, gdy rząd ma za sobą mniejszość, upada, u nas zaś zostaje!

Dziś przedłożyłem Koronie sto pięćdziesiąty siódmy program rozwiązania sytuacyi. Matematycznie jest to możliwe, ale dzięki Bogu, matematyka to co innego, polityka zaś coś innego!

To jedno wiem na pewne: Gdyby u nas do dnia dzisiejszego rządzili jeszcze Turcy, otrzymałbym z Konstantynopola jedwabny zielony sznurek, a tak dostanę z pewnością wielki krzyż orderu św. Szczepana, na zielono-czerwonej wstążce!

Tak! tak! Gdybyśmy nie mieli Kossutha, to nie wiem, coby działo się z Węgrami. Na myśli mam naturalnie tego zmarłego!

W noc św. Mikołaja.

(Wspomnienie z przed tygodnia).

Nad Krakowem rozpostarła noc swe skrzydła. Cisza zaległa ulice, tu i ówdzie tylko z niedomkniętych drzwi handelków dochodziły odgłosy rozmów i szkła; to troskliwi mężowie przy bombce naradzali się, co mają w nocy włożyć żonie pod poduszkę. Czasem dobiegło uszu ziewanie stróża bezpieczeństwa, czasem znów przekleństwo, to jakiś spóźniony przechodzień „wdepnął“ w kałużę błota, zmieciona miejskiemi szczotkami pod sam chodnik. Jeden tylko Mickiewicz stał niewzruszony, nie oglądając się nawet, czy stoją jeszcze Sukiennice, czy je już rozparcelowano.

Z wieży Maryackiej rozchodził się co godzina tak popularny niegdyś ton: *Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz!* Strażnik pożarny w myśl polecenia ostatniego kongresu sufrażystek, przypominał czułym małżonkom ich przy ołtarzu zaprzysiężone obowiązki.

I ja, nie mogąc żadnej rozmaitości znaleźć w zaciszu ogniska domowego, a żądny przecież nowości, opuściłem małżeńską łożnicę właśnie w chwili, gdy trębacz rozpoczął wygrywać tę przeklętą melodyę, a żona obudziła mnie wołając:

— Kubusiu! Czy słyszysz! On znowu trąbi!

— A niech mu gębę wykręci! — wrzasnąłem z rozpaczą. — Nie mógł to trąbić tak przed czterdziestu laty! Dziś tyle to pomoże co umarłemu kadzidło.

Westchnęła żałośnie kochana moja magnifika i z wzgardą odwróciła się ku mnie biegunem południowym — (tam gdzie wulkan Erebus) — ja wybiwszy się ze snu, zebrałem się i podążyłem na miasto, które miało wyżej opisany wygląd. Lecz zapomniałem wpomnieć, iż piesza podróż nocną porą przez ulice Krakowa, naraża prócz materyalnych i na szkody moralne, co krok bowiem napotkać można wdzięczne rusałki, wabiące człowieka na pokuszenie.

Ja pozostałem jednak nieczułym na ich ponętne wezwania, nie dlatego, abym był może zanadto cnotliwy, lecz z powodu, że wiek dał mi się już we znaki.

Skierowałem swe kroki w stronę ulicy Brackiej i tu, przy migotliwem świetle latarni, dojrzałem jakiegoś starowinę z potężną torbą na plecach. Byłem pewien, że to jakiś zwolennik Słowackiego, mający ochotę wysadzić w powietrze pałac biskupi, poszedłem więc w jego ślady, nie spuszczając go z oka.

Pod jedną z bram przystanął staruszek i rozglądnął się ciekawie w około. Oho! pomyślałem sobie, ten ma nieczyste sumienie i zbliżyłem się doń z zapytaniem:

— Dobry wieczór! A kogo to pan szuka o tak spóźnionej porze?

— A dobry wieczór! Rozglądam się, gdzie tu jest pałac Larysza... Już dawno nie byłem w Krakowie, a przez ten czas jakoś się u was wiele zmieniło...

— Zapewne na lepsze!?

— Ot... tak i owak! Ale dobranoc, spieszy mi się, gdyż mam przed świtem jeszcze bardzo wiele spraw załatwić...

— Przepraszam najmocniej, ale z kim mam przyjemność, bo mi jakoś oblicze wydaje się znajome?

— Święty Mikołaj! — wyszeptał starowina, rozglądając się, czy przypadkiem nie podsłuchuje gdzie z boku jaki socyalista...

Świetna myśl strzeliła mi do głowy! Trzeba tanim kosztem urządzić dla *Bociana* interwiew. Postanowiłem towarzyszyć św. Mikołajowi, a w drodze o ile się da, dowiedzieć się od niego jak najwięcej nowości... Nie miał nic przeciw temu, podążyliśmy więc razem.

— Czy wolno wiedzieć, jakie Wasza Świątobliwość niesie tego roku podarki i dla kogo? — zapytałem obcesem.

— Ależ i owszem! Dla każdego jest coś! Mam tu nawet w torbie dla waszej Redakcyi przekaz na milion koron w złocie, płatny jednak dopiero 30-go lutego...

— Wspaniale... właśnie wtedy mamy największe wypłaty, to się zda!

— Otóż widzisz mój drogi, mam tu dla pana prezydenta bardzo ładne rzeczy: wielki Kraków, uregulowane koryto Wisły, uznanie ze strony mieszkańców. Dla kardynała przygotowałem bardzo ładne popiersie Słowackiego, dla Miedniaka katarynkę, dla Styki panoramę, dla konserwatorów Rondel, dla burzymurków świętego Idziego, dla wodociągów jeszcze jedną glistę. Socyaliści dostaną gruszkę za 10 koron, *Reforma* rózgę, ponieważ trzyma z żydami, *Głos Narodu*...

— Przepraszam bardzo, a *Gazeta Powszechna* nie dostanie nic?

— Nic, synku, nic! Oni i tak nie ucieszyliby się żadnym prezentem, bo wiedzą, co im tam w niebie przygotowałem!

— Jakto? skąd?

— No... nie wiesz, że przecie ciągle gadają z duchami, a niektóre z nich, szczególnie kobiet, są bardzo gadatliwe i z pewnością zdradziły nasze przygotowania...

— Kiedy jakoś nic nie czytałem o żadnym świeżym seansie!

— Owszem! Owszem! Był... w sobotę, gdyż była to rocznica imienin ich protektorki, Barbary... Ubryk.

— A cóż otrzyma nasz poczciwy *Czas?*

— Nie mogę ci powiedzieć, gdyż to tajemnica. Ale bądź zdrów, mnie się spieszy. Z Krakowa muszę się dziś jeszcze dostać do Wiednia, mam bowiem dla naszych posłów kilka orderków, fraków ministeryalnych i synekurek. Dobranoc!

— Dobranoc! A proszę tam pamiętać o tym przekazie!

— Jutro otrzymacie pocztą! Gdyby się spóźnił, to nie moja wina, tylko poczty!

— O, to w takim razie z pewnością nie przyjdzie na czas! Dobranoc!

. . . .

Święty mąż podążył w jedną stronę, ja skierowałem się w drugą i po kilku minutach znalazłem się u Rosenstocka, gdzie przy herbatce postanowiłem doczekać rana, by, jak porządny człowiek powrócić do domu, gdy brama *już* otwarta.

Po aferze trucicielskiej.

Wczoraj zdeponowano w Dyrekcyi policyi list, który otrzymał od pewnego pośrednika małżeństw jeden z zubożałych krakowskich arystokratów. List ten brzmi dosłownie:

„Wielmożny Panie! Ponieważ dowiedziałem się, że zamierzasz pan poprawić swe materyalne stosunki przez bogaty ożenek, śmiem ofiarować wprawdzie *stare pudło* (lat przeszło pięćdziesiąt) jednakże w odpowiednio ozdobnem wykończeniu. Mam tu na myśli 200.000 koron, które Panu wniesie. Tę *gorzką pigułkę* musi Pan połknąć, gdyż niema innej rady.

Z poważaniem

Żeniaczkiewicz i Spółka

konces. biuro pośrednictwa małżeństw.

Ponieważ zachodzi obawa, że list ten, jak zresztą już sama treść wskazuje, może stać w związku z jakim uplanowanym chytrze zamachem na resztki naszej arystokracyi, rozpoczęto energiczne śledztwo.

Rozporządzeniem z 6 grudnia b. r. zakazało ministerstwo handlu wszystkim urzędom pocztowym doręczania stronom listów pochodzących od teściowych, wierzycieli, krawców upominających się o ratę i podobnych, ponieważ, według orzeczenia Najwyższej Rady Zdrowia, listy te zatruwają życie odbiorcom.

Wątpliwość.

Baron X. (do przyjaciela): Proszę cię, powiedz mi, jak się mam ubrać, gdyż na jutro mam wezwanie do sądu, celem złożenia *przysięgi manifestacyjnej!* Wystarczy marynarka, czy też trzeba wdziać smoking?

Dobra materya.

Krakowski andrus, jeden z tych, którzy to odznaczają się zawsze tak wspaniałym humorem, poszedł raz do sklepu szewskiego, aby sobie kupić nowe trzewiki. Trzeba wiedzieć, że trafiła mu się gratka, gdyż znalazł na ulicy pugilares z kilkunastu koronami, a nie był znów tak naiwny, by szukać ich właściciela. Policya, która nigdy nikomu nie dowierza, gotowa go jeszcze posądzić, że je gdzie ukradł, nowe buty zdadzą się zaś na zimę.

Nie mając na nogach żadnych skarpetek, gdyż jest to niepotrzebny wymysł, wstydził się jednak swej nagości i chciał kupić trzewiki tak na oko, nie przymierzając ich wcale. Sumienny kupiec nie chciał się jednak na to zgodzić i rad nie rad, musiał biedny chłopak obnażyć swe pedały.

— O! jaka to dobra materya na tych skarpetkach — mówi nasz kupiec z drwiącym uśmiechem, chwytając go za gołą skórę.

— E... co ta pon godo! — odpowiada na to andrus — gdzie ona tam dobro! Powiadom panu, z takij samyi materyj miała moja siostra majtki, ale jij pękły w kroku, gdy miała ledwie trzynaście lat!

Modne małżeństwo.

Ona: Wiesz, Michale, służąca nie chce nam pożyczyć już ani centa...

On: To teraz zupełnie spokojnie możesz ją wypędzić ze służby!

On: Zosiu! proszę cię, każ zapalić porządniej w piecu w pokoju guwernantki, bo tam człowiek nie jest się w stanie nawet rozebrać...

Jednakie gusta, a jednak...

Pewna poważna dama żaliła się przed swą przyjaciółką na swego syna w następujący sposób:

— Bo to proszę pani w każdej gazecie każdy szuka co innego. Mąż bada zwykle politykę, żona czyta powieści i z kroniki wiadomości kościelne, córki i synowie poszukują skandalików i t. d. Tymczasem u mnie jest zupełnie inaczej, i ja i mój syn, który uczęszcza obecnie na uniwersytet, mamy jednakie gusta! Ja czytam zawsze w każdej gazecie ogłoszenia o pokojówkach, poszukujących miejsca, tymczasem od kilku miesięcy ktoś je zawsze wycina. Dopiero wczoraj dowiedziałam się, iż czyni to mój syn!

Nasze sługi.

— Wyobraź sobie Kasiu, widziałam na własne oczy, jak wczoraj guwernantka pozwoliła się paniczowi pocałować!

— O to wstrętna kobieta! Nie wiedziałam nawet, że może nam robić tak brudną konkurencyę!

Monolog córki stróża.

— To ciekawe! Ten akademik z trzeciego piętra obiecuje mi ciągle, że się ze mną ożeni. Nie wiem teraz, czy on to myśli na seryo, czy też chce w ten sposób oszczędzić sobie „*szpery*“...

Poczciwy człowiek.

Aptekarz: Bardzo żałuję, łaskawa pani, że syn pani otruł się w mojej aptece. Ale cóż ja jestem temu winien, to tylko jego własna nieostrożność była tego przyczyną!... Wypłacę pani zaraz zaległą jego płacę za miesiąc listopad, której przed śmiercią nie podjął, po strąceniu naturalnie czterdziestu halerzy za zużytą truciznę! Zastrzegam się, że liczę nie według taksy aptekarskiej, ale po cenie własnych kosztów!

W hotelu.

Gość: No i cóż zrobiłabyś teraz, mój kotku, gdybym cię tak znienacka pocałował?

Pokojowa: A nic! U nas zapisuje się wszystko na rachunek!



Ferdek Eleuteryk.

Towarzyszu! Źle z nami! Teroz już cało Europa razem z olejandrami, byziem i jenszemi obligacyami wielkigo Krakowa zeńdzie na psy, bo teroz maliarze strejk skończyły, a chcom go zacząć wszystkie brzany, od Steinheilowy poczonwszy, a na Dulembiance skończywszy. Spytosz może brachu, loczygo, jaki powód? Powiem ci ino jedno, narobiuł onygo bigosu ten pon z majestratu, co rozesłoł do wszelakich rajców, dochtorów, męczynosów, kupców, rzemieśników, a nawet andrusów swojom breszure, w któryj nagrypsoł, że kużden monsz, może, abo mieć dzieci, jak bedzie chcioł, abo nie bedzie. Godoł mi jeden mądry chłop z Krowodrzy murowanyj, że wrócom sie one czasy, o których Pismo świńte wspomino, kiedy to Abrahom zrodziuł Izaka, Izak Jakóba i tak dalej, i wcale bez brzan nazbirało sie tyle gudłajów, że im i Kaźmirz ze Stradomiem za mały i pchajom sie już na Rynek. Ajlenburg chcioł u Prusoków wprowadzić te starom mode, ale że to jest państwo dobrych obyczajów, pedzioł mu prekurator, żeby se wzion brzanę, bo inaczyj to nima jenteresu.

Tymczasem ta breszura pana Jaworskigo, którom my se z Mańkom na cztyry ręce przeczytali, nie wykluczo w zupełności brzan, ino ograniczo troche ich prawa. Dawnij kużda kubita rodziła, jak jij sie podobało, czy była pannom czy menżatkom! Mogła mieć, jeśli chciała i tuzin bębnów, rozmaityj pci, a teroz pon Jaworski pedo: Halt! Baba bedzie rodzić takie bachory, jak monsz zechce.

Sufrażystki, które nimajom mężów i te żeniate, dowiedziawszy sie o tym, że ten źgoc chce ograniczyć ich wolność osobistom, zebrały sie na walne zbiegowisko i pedajom: *veto!* Spolić go na stosie, bo to heretyk! Wysłały tyż dupetacye do Puzyny, żeby go wyklon, ale bury ze sułanami, którzy strzegom biskupigo pałacu od owacyi, nie puściły ich przed eminencyjom i Jaworski nie pójdzie na sztos. Natomiast postanowiły wszystkie brzany Jaworskigo bojkotować na kużdym kroku, a jeśliby menczyzny chciały kuniecznie trzymać sie jego wskazówek, rodzić odtąd ino na podstawie pelagrafu czternastygo, to znaczy, nie pytajoncy sie gawrów o zgodę, tak samo jak Binert nie bedzie sie pytoł posłów, co chcom, a czego nie, jak parliament rozpendzi na cztyry wiatry!

Narobiła ta breszura wiencyj wrzasku niż ona rondlowa panorama, do któryj już sie Kraków przyzwyczajuł, zwłaszcza, że konwisyo Rady mijskij pedziała, co Styka jest dobry chłop, wienc mu trza dać rondel. Godoł mi jeden pisorz majstracki, że Styka obiecoł za to wymaliować konterfekty wszyckich rajców w oleju i naturalnyj wielgości portret onyj glisty, chtórom wyłowili w mijskim wodociongu.

A godołem i grypsołem zawdy, że porzomny obywatel wielgigo Krakowa nie powinien nigdy pić wody, bo to niezdrowo! Na cóż mamy sznapiturę, piwsko i sikonia? Woda jest do płukania garków i kompieli, a tronkowość do picia... Majstrot sie gniwo, że dużo wody wychodzi, a kuntentny jest, kiedy prepinacyjo jest w ruchu, bo som winksze dochody. Eleuteryjo może sobie godać i grypsać, co chce, jo, Wicek i jeszcze insze Wielgo-Krakowioki pedamy, że wódeczność to gront, bo ona usposabia umysł do ślachetnych czynów. Jakżeby zresztom bez wódeczności wyglondały nasze jebieleusze, bankiety, odpusty i rauty w Starym tyjatrze? Przecie naród nie bedzie sie zaliwoł wodom, skoro mo jij dosyć we Wiśle i Rudawie! Już i z tygo widać, że woda nic nie jest wartajonca, skoro minister Biliński jest chconcy, żeby jom tyż opodatkuwać!

Gorsze nieszczyńście, że bedziemy mieli kuniec świata wcześnij, niż sie kto móg spodziwać! Jakoś kumeta z ogonem ma przyńść 18. maja i wymiść cały Kraków. Bedzie wtedy pirszy raz porzomnie na ulicach, ale my tygo już nie zobaczymy, bo wtedy i nos już nie bedzie! Bez Szafrańskigo, Horakowyj i Wolnygo pojedziemy w te olejandry za Rakowickom rogatkom, skond sie już nie wraco!

Teroz dopiro otworzyły mi sie patrzaje i kapuje, loczygo to kumitet iminin Grunwaldu dotond nic nie zrobiuł. Członki jego mynskie i żyńskie musiały już pirwyj wiedzieć o tym kuńcu świata, wienc pocóż sie mordować? Obchód ma być w lipcu, a w maju już bedzie po nas? Z tyj przyczyny nie zabirom tagże głosu w sprawie panoramy! Jo ta miołem psieczucie, że kuniec prepinacyi, który przypado właśnie w przyszłym roku, to zły znak! I sprawdziło się! Szkoda ino tych hopów, które Majstrot wydoł na asfaltuwanie uliców, nie lepij to, żeby byli rozdali je miendzy naród, aby se galanto popiuł na zgryza i załoł chroboka! Mojemu, nie zaszkodziłoby to bardzo. Jak ona wodociongowo glista pływała se we wodzie, tak mój chrobok nauczuł się pływać w tronkowości i z pewnościom w nij nikiej nie utonie.

Musze sie tyż pochwalić, że świenty Mikołoj nie zapomnioł tygo roku ani o mnie, ani o Mańce. I jo i ona dostalimy galante prezenty. Poczciwy staruszek nie zapomnioł tyż i o naszych posłach, a nimogący dać im teroz orderów, ani ministeryalnych stolców, posłoł ino kużdemu jedwabnom suspenzoryę na przykonania poletyczne, żeby im sie nie otrzensły! Kużda partyjo dostała inkszygo koloru, socyjaliści czerwone, stańczyki czorne (o żółtość to sie już sami muszom starać), narodowe dymokraty, jako że teroz trzymajom ze Swobami niebieskie i t. d. Szelma Mańka, któryj przypod do gustu nasz nowy lokator, Rypała, o którym już przed dwoma tygodniami grypsołem, wsadziła mi pod poduszke pigułki na wzmocninie nerwów, alem wczas zwonchał pismo nosem i wpakowołem je do pieca.

Ponieważ świnta sie zbliżajom, a Szanowne Czytelniczki, jak co roku, bedom mnie zapraszać na różne bałabuchy i tronkowość, prosiułbym o wczesne zgłoszenia, żebym nikogo nie obraziuł i wszyndzie mógł się stawić. Jeśli braknie czasu, to w niechtóre mijsca pośle ino Mańke z koszyczkiem po prowiant, który się potym zdo, zastrzegom sie jednak, że nie pozwole jij odwidzić żodnygo kawalira, gdyż tamtygo roku, jak poszła na wiljom do jednygo mygo poletycznego przyjaciela, to wróciła dopiro na Sylwestra.

ROZTARGNIONY KELNER.

Wśród wściekłej kanikuły
Trzydzieści blizko stopni,
Pan baron przy obiedzie
Klnie upał najokropniej!

Więc obstalował chłodnik
I zimne je mięsiwo —
I kazał kelnerowi
Dać prosto z lodu piwo!

„Hej! zamroź mi szampana,
Wiesz, jaką piję markę!
Lecz wpierw coś zjeść chcę jeszcze —
Zawołaj mi kucharkę!

„Kucharka raz!“ — Jean krzyknął
I pyta się barona:
„Przepraszam jaśnie pana,
Czy także zamrożona?“

Chat-Noir.

Znawcy sztuki.

Jak donoszą z Berlina, udało się dyrekcyi galeryi sztuk pięknych zakupić za stosunkowo bardzo niską cenę wspaniałe popiersie, które, jak orzekli znawcy, jest dziełem jednego z najznakomitszych rzeźbiarzy piętnastego wieku. Wobec wartości artystycznej nabytku, cena sto pięćdziesiąt tysięcy marek jest poprostu niczem. Wprawdzie jeden z miejscowych fryzyerów ogłosił potem w pismach codziennych, że popiersie to jest jego dziełem, a służyło mu do wyrobu i wystawiania peruk, sprzedane zaś zostało na licytacyi za dwie marki, uznano jednak to oświadczenie jako zwykłą złośliwość, a zabytek umieszczono w najpryncypalniejszem miejscu galeryi. Z dworu nadeszła także wiadomość, że cesarz i teraz jeszcze, pomimo artykułów dziennikarskich, orzeka stanowczo, że rzeźba ta pochodzi rzeczywiście z piętnastego stulecia, do wnętrza jej jednak zaglądać nie pozwala!

Nasze dzieci.

Gimnazyastka: Czy ty Tadziu całowałeś już kiedy?

Gimnazyasta: Nie... jeszcze nas tego w klasie nie uczono!



Z tajemnych zwierzeń.

— Kaziu! A czem jest twój nowy wielbiciel?
— Alboż ja wiem! Zdaje mi się, że musi być chyba albo sędzią śledczym, albo komisarzem policyi, gdyż *bada* ogromnie skrupulatnie!

Kokotka (do swego wielbiciela): Tak jest baronie, masz słuszność, wy żonaci stanowicie dla nas najlepszą klientelę, natomiast wasze żony psują nam ogromnie interes, obniżając ceny...

I to racya.

Czcij ojca i matkę twoją, powiada czwarte przykazanie! Ba, gdyby to każdy znał swego ojca!

Seans spirytystyczny.

Grono krakowskich spirytystów na ostatnim seansie wywołało ducha ś. p. prezydenta Faure'a, aby się dowiedzieć czegoś pewnego o jego stosunku do pani Steinheil. Duch byłego prezydenta zjawił się zaraz i odpowiadał bardzo chętnie.
— Czy znał pan panią Steinheil?
— No... i jak jeszcze!
— A poznał pan dobrze jej charakter?
— Nieraz robiła przede mną najtajemniejsze odkrycia!
— Czy była dobrą?
— Och! Ona gotowa była zdjąć nawet ostatnią koszulę, jeśli ją kto o to poprosił!
— A była uprzejmą?
— Naturalnie! Przyjmowała każdego z otwartemi ramionami i...
— Miał pan jej portret?
— Nie! Ale za to musiałem kupować obrazy jej męża!
— Co pan sądzisz o jej niewinności?
— Myślę, że mając lat dwanaście, była jeszcze zupełnie niewinną!
— A jaką była w miłości?
Po tem zapytaniu ekierka poczyna przesuwać się po całym nefubecie, co oznacza, że duch nie chce poczynić żadnych wywnętrzeń.



KRAINA MIODEM I MLEKIEM PŁYNĄCA.

Miłość — ach! cóż jest słodszego?
Tak mąż szepce w uszko żonce —
Pomnisz — czasy narzeczeństwa
I miodowe te miesiące?

Tak! — odpowie żona na to,
Lecz jest jedno w niej ohydą,
Że z reguły po miodowych
Znów miesiące mleczne idą!

Chat-Noir.

○○○

Po procesie Steinheilowej.

— I jak pan się zapatruje na zeznanie Steinheilowej? Prawdziwe są, czy nie?
— Przyznam się panu, iż jedno tylko wydaje mi się być prawdopodobnem...
— Ciekawa jestem, które?
— To mianowicie, w którem oświadcza, że leżała już rozebrana w łóżku, gdy napadł na nią jakiś obcy mężczyzna!

Adwokat: Hm... łaskawa pani! Rozwód będzie trudny do przeprowadzenia! Ale dam pani lepszą radę! Otruj pani swego męża, a jestem pewny, że sąd ją uwolni!

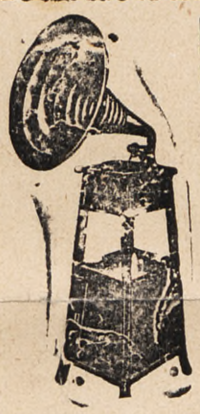
Pani Steinheil otwiera w Paryżu biuro lekarsko-prawnicze, które anosuje w następujący sposób: „Damy z towarzystwa znajdą dyskretną poradę i pomoc także w sprawach karnych“.



Mądre przysłowie.

Mężczyzna bez kobiety, jest jak pistolet bez kurka.





Właściciel i wydawca: Sanisław Lipiński. Za redakcyę odpowiedzialny: Stefan Karczmarski. Drukiem D. E. Friedleina w Krakwoie.



— Odczep się pan i nie bądź natrętny! Powiedziałam panu przecie, że ja gołych nie znoszę!
— Bardzo ładnie, ale ja też bynajmniej nie mam zamiaru zdejmować kostyumu!...